

Oto drugi rozdział książki „Etyka solidarności” (1981) zatytułowany „Wspólnota”.

Wspólnota

Józef Tischner

Stanęliśmy przed zadaniem głębszego zrozumienia idei solidarności. Zwróćmy uwagę na słówko: idea. Solidarność, o której chcemy mówić, nie jest bowiem ani pojęciem, ani gotową teorią etyczną, jest ideą. Pojęcia tym się zazwyczaj charakteryzują, że dają się względnie łatwo zdefiniować, idee natomiast zawsze pozostają trochę nieokreślone. One są raczej wzorami rzeczy niż wyrazem ich faktycznego stanu. Solidarność jest dla nas czymś do odwzorowania, co określa się w miarę urzeczywistnienia i co wciąż musimy definiować na nowo. Nie wiąże się ona również z żadną gotową teorią. Teoria to jakiś system uzasadnień, w którym „jedno trzyma się drugiego” i jedno drugie uzasadnia. Idea jest czymś, co w gruncie rzeczy nie potrzebuje uzasadnień, ona uzasadnia się sama przez się. Dlaczego solidarność? – mógłby ktoś zapytać. Na to pytanie nie ma odpowiedzi uzasadniającej. Można by tylko tyle powiedzieć: solidarność, bo tak jest dobrze. Idea to jakby jakieś światło. Światło samo świeci, samo siebie „uzasadnia”. Idąc po cieniach, dochodzimy do światła. Każdy cień odsyła poza siebie, ale światło już dalej nie odsyła.

Niemniej solidarność wymaga zrozumienia. Trzeba zapytać: co mówi solidarność? Człowiek jest zawsze solidarny z kimś i dla kogoś. A więc – z kim ma być nasza solidarność i dla kogo? Idąc po linii tych pytań, można również pytać, jakimi uczynkami i dziełami może się ona wyrażać.

Zadaniem moim tutaj nie jest udzielanie rad, formułowanie zakazów czy nakazów. Chodzi o coś głębszego: o przyjrzenie się przestrzeni życia oświetlonej ideą solidarności. Refleksje niniejsze mają charakter etyczny, a głównym zadaniem etyki jest towarzyszyć człowiekowi na drodze jego życia i pokazywać możliwie jednoznacznie, wśród jakich wartości biegnie jego los. Gdy człowiek zobaczy, jaki świat wartości go otacza, sam potrafi sformułować nakaz i zakaz, sam potrafi sobie poradzić, a gdy zajdzie potrzeba, potrafi również siebie ocenić. Dzisiaj chciałbym zwrócić uwagę na dwie kluczowe wartości – na sumienie człowieka i na naturalny związek człowieka z cierpiącymi.

Etyka solidarności chce być etyką sumienia. Zakłada ona, że człowiek jest istotą obdarzoną sumieniem. Sumienie to naturalny „zmysł etyczny” człowieka, w znacznym stopniu

niezależny od rozmaitych systemów etycznych. Mamy wiele systemów etycznych, ale sumienie jest jedno. Ono jest wcześniejsze niż owe systemy. Sumienie stanowi w człowieku rzeczywistość samodzielną, trochę jak rozum i wola. Człowiek może ćwiczyć wolę i rozum, może też zaniedbywać ćwiczenia, podobnie może słuchać swego sumienia, zagłuszać je, może się go wyrzekać. Sumienie jest głosem, który woła wewnątrz człowieka. Do czego wzywa dziś sumienie? Przede wszystkim do tego, by człowiek chciał mieć sumienie.

Zdajemy sobie sprawę z tego, jakie ryzyko podejmujemy, gdy mówimy, że etyka solidarności chce być etyką sumienia. A jeśli okaże się, że człowiek ma błędne sumienie? Czy nie byłoby bezpieczniej pominąć sumienie, a zająć się wypisywaniem drogowskazów i ustawianiem ich obok drogi człowieka? Pewnie, że tak byłoby bezpieczniej. W ten sposób jednak nie buduje się ludzkiej moralności. Nie chodzi o musztrę, ale chodzi o zachowanie, które płynie z wnętrza człowieka. Aby przepis mógł budować moralność, musi być akceptowany przez sumienie. Sumienie to zmysł czytania drogowskazów. Tylko ono wie, na który drogowskaz należy zwrócić uwagę tu i teraz. Myśliciele chrześcijańscy mówili: sumienie jest głosem Boga. Znaczyło to: Bóg, który nie przemawia poprzez sumienie człowieka, nie jest prawdziwym Bogiem, lecz bożkiem. Prawdziwy Bóg dotyka najpierw sumień. Człowiek, który nawet błądzi, ale ma przecież jakieś sumienie, uzna z pewnością kiedyś swój błąd i potrafi się zmienić. Człowiek bez sumienia nie jest do tego zdolny. Jeśli się nawet zmienia, to dlatego że zmieniły się okoliczności, do których będzie się musiał przystosować.

Nie można być solidarnym z ludźmi bez sumienia.

Z ludźmi bez sumienia można jechać w jednym pociągu, siedzieć przy stole podczas kolacji, czytać książki – to jednak nie jest jeszcze solidarność. Nie każde „my”, nie każde „razem” jest już solidarnością. Autentyczna solidarność – powtórzmy to raz jeszcze – jest solidarnością sumień. To zrozumiałe, bo być solidarnym z człowiekiem to zawsze móc liczyć na człowieka, a liczyć na człowieka to wierzyć, że jest w nim coś stałego, co nie zawodzi. Sumienie jest w człowieku tym, co stałe i co nie sprawia zawodu. Do tego trzeba jednak jednego: trzeba chcieć mieć sumienie. Sumienia mają bowiem przede wszystkim ci, którzy chcą je mieć. To smutne, bo okazuje się, że człowiek ma moc zniszczenia w sobie tego, co stanowi o jego człowieczeństwie. Ale to również radosne, bo okazuje się, że sumienie zawsze można odbudować, byle tego chcieć.

Solidarność jest dziełem nie tylko tych, którzy zawsze mieli sumienia, ale również tych, którzy je w sobie odbudowali.

Etyka solidarności rozwija się i przejawia w określonym systemie społecznym, w określonym czasie i miejscu. Solidarność jest solidarnością z ludźmi i dla ludzi, jest więc zjawiskiem społecznym. Pociąga to za sobą pewne konsekwencje. Między innymi rodzi się pytanie: jakie więzy łączą zjawisko solidarności z polityką? Rozważmy rzecz na konkretnym przykładzie. Oto przypowieść o miłosiernym Samarytaninie. On także żyje w określonym społeczeństwie, w świecie określonej religii i polityki. Niemniej jego czyn jest jakby trochę poza tym światem – poza strukturami, które świat ludziom narzucił. Dobry uczynek Samarytanina jest odpowiedzią na konkretny krzyk konkretnego człowieka. To proste: ktoś woła o ratunek. Ranny leży w przydrożnym rowie. Jego ból ma szczególny charakter: nie jest wynikiem choroby, nieszczęśliwego zbiegu okoliczności, podeszłego wieku, lecz bólem z powodu drugiego człowieka. To człowiek człowiekowi zgotował taki los. Właśnie ten fakt jest ważny, to właśnie w sposób szczególny porusza sumienia i wzywa do solidarności. Nic tak nie oburza jak rana niepotrzebna – rana, którą zadaje człowiekowi drugi człowiek. Nad chorymi operowanymi – litujemy się. Nad skrzywdzonymi – litujemy się i oburzamy zarazem. Z widoku takich bólów rodzi się szczególnie głęboka solidarność.

Dla kogo zatem jest nasza solidarność? Jest przede wszystkim dla tych, których poranili inni ludzie i którzy cierpią cierpieniem możliwym do uniknięcia, przypadkowym i niepotrzebnym. Nie wyklucza to solidarności dla innych, dla wszystkich cierpiących. Ale solidarność dla cierpiących przez ludzi jest szczególnie żywa, mocna, spontaniczna.

Czy to dotyka polityki? Owszem, ale tylko wtedy, gdy polityka jest złą polityką. Gdy polityka jest dobrą polityką, sama jest przepełniona duchem solidarności. Czyż bowiem polityce nie o to winno chodzić, by tak zorganizować przestrzeń życia ludzkiego, aby człowiek nie zadawał ran drugiemu człowiekowi? Wierna samej sobie polityka jest budowaniem przestrzeni, w której mogą działać sumienia Samarytan. Takich sumień nikt nie powinien się lękać; to nie straż pożarna jest groźna, ale pożary. Miłosierny Samarytanin nawet nie biegnie, by pochwycić zbójców. Najpierw trzeba opatrzyć rany chorego. Zbójcami zajmą się ci, którzy stoją w pobliżu polityki. Solidarność to bliskość – to braterstwo dla porażonych.

Zestawmy w jedno główne myśli. Fundamentem solidarności jest sumienie, a bodźcem do jej powstania wołanie o pomoc człowieka, którego zranił drugi człowiek. Solidarność stanowi szczególne więzi międzyludzkie: człowiek wiąże się z drugim człowiekiem dla opieki nad tym, kto potrzebuje opieki. Ja jestem z tobą, ty jesteś ze mną, jesteśmy razem – dla niego. My – dla niego. My, ale nie po to, by patrzeć na siebie, lecz – dla niego. Co tu jest pierwsze? Czy

pierwsze jest „my”, czy pierwsze jest „dla niego”? Wspólnota solidarności różni się od wielu innych wspólnot tym, że w niej pierwsze jest „dla niego”, a „my” przychodzi potem. Najpierw jest ranny i jego krzyk. Potem odzywa się sumienie, które potrafi słyszeć i rozumieć ten krzyk. Dopiero stąd rośnie wspólnota.